

ANDRZEJ TYSZKA

KSZTAŁTOWANIE DUCHA I POSTAWY POLSKOŚCI W POCZĄTKACH XXI W.

Nie wyobrażam sobie, abym w tym wystąpieniu zdołał wyczerpać temat, który nałożyli na moje barki Szanowni Organizatorzy Zjazdu Regionalistów Polskich. Dobrze byłoby zatem choćby ten temat postawić.

Przemówienie moje pozwałam sobie podzielić na dwie – jak to mówią – „nierówne połowy” – pierwszą z nich nazwijmy prezentacją i oceną wybranych faktów; drugą – ponad miarę ambitnie – częścią ideową, refleksyjną, światopoglądową.

Wierzę zresztą głęboko, że od którego by wątku nie zacząć i jakiegokolwiek myślowego aspektu naszej rzeczywistości by nie tknąć – w tym gronie, zaangażowanych obywateli i patriotów – regionalistów – dojdziemy w dyskusji do właściwych, budujących, pozytywnych konkluzji. W pierwszej połowie mego przemówienia chcę poruszyć cztery obszerne tematy. Są to: stosunek do PIENIĄDZA; stosunek do WŁADZY; postawa wobec ZIEMI; oraz poglądy na problem CZASU (przeszłego, terażniejszości i przyszłości). Tematy te są wybrane arbitralnie, może nawet subiektywnie i mają służyć jako przykładowe pola waloryzacji. Zauważyć się bowiem daje z łatwością, że brzmią w nich doniośle problemy wartości, pojęcia silnie przesyczone emocjami aksjologicznymi. Ci spośród państwa, którzy znają moje poglądy, nie będą tym zaskoczeni, bo ostatnio już inaczej nie patrzę na rzeczywistość społeczną. Spieszę jednakże sprostować, że nie czysty idealizm przeze mnie przemówi, lecz doświadczenie kogoś, kto mając siebie za realistę, obserwuje przebieg wydarzeń, stan faktyczny, pragmatyczną materię życia zbiorowego, życia politycznego, medialnego, kulturalnego, wreszcie i duchowego, które jako realista zaliczam do konkretów.

Aksjologia społeczna, mój ulubiony konik, na którym z upodobaniem galopuję w stronę głębszego zrozumienia rzeczywistości, ma w sobie zakodowane moralne czy idealne „motto”. Ale sednem tego rozumienia pozostaje stan faktyczny, byt realny, empiria życia – lecz w konfrontacji z wizją bytu pożądanego, ze stanem oczekiwań, z systemem powinności – które służą nam za pozytywny

cel, zadanie, wyzwanie, misję. Słowem za biegun, ku któremu wskazują strzałki naszych kompasów. Ba! Niektórzy z Państwa przybyli tutaj z busolą!

A więc PIENIĄDZ jako pierwsze hasło wywoławcze służy mi tu za przykład potężnego pionu wartości przenikających na wylot całe nasze życie. Z drugiej strony – naprzeciw niego stoi cała piramida wartości przeciwstawnych wobec pieniądza – wartości niematerialnych, niepieniężnych, bezinteresownych, mówiąc skrótowo i stereotypowo – triada Dobra, Piękna i Prawdy oraz długie orszaki wartości zwanych duchowymi lub kulturowymi. Nasza cywilizacja zbudowała niesymetryczny konflikt wartości wynosząc pieniądz do roli kategorii nadrzędnej wobec reszty wartości. Jego moc utożsamia się wszech–mocą ABSOLUTU. Pretenduje on do miana potężnej nad–wartości, meta–wartości, wartości absolutnej, swoistej miary wszechrzeczy. W świecie „wolnego rynku” i powszechnego konsumeryzmu staje się on wykładnikiem wszystkich innych wartości, wymiennikiem i równoważnikiem rynkowym wszystkich pozostałych dóbr. A więc również tych, których w myśl tradycyjnych doświadczeń moralnych albo nie można nabyć za żadne pieniądze, albo nie wolno – bez poważnych konsekwencji etycznych i egzystencjalnych – traktować jako przedmiotu kupna i sprzedaży. Pojęcia „sprzedajności”, „frymarczenia” i „kupczenia” odnoszą się do wielu rzeczy, którymi nie godzi się handlować: fałszywym świadectwem, żywym towarem, organami ludzkiego ciała, opiniami i poglądami, usługami religijnymi, bramkami w meczu futbolowym, decyzjami administracyjnymi, wreszcie usługami intymnymi – wszystkie te przykłady mieszczą się albo w szerokim, pejoratywnym pojęciu prostytucji, albo korupcji. Zdrowie, oświata, dobra kultury, jako towar, folklor i tradycja zmienione w płatną usługę turystyczną – budzą tak samo głęboką odrazę lub niesmak, jak instrumentalnie traktowana przyjaźń, płatna miłość czy kupiona lojalność. Brzmi w tych słowach, w ich odległym tle, Ewangeliczny werset: *Nie będziecie dwom panom służyć – Bogu i Mamonie*. Ale cywilizacja nasza jest zbudowana na pieniądzu, na obrocie pieniężnym, systemie pracy najemnej na modelu ekonomii rynkowej, co więcej – dziś także na ideologii konsumeryzmu w jej wymiarze globalnym. One coraz natarczywiej i bezwzględniej, coraz to bardziej systemowo narzucają nam dominującą i zwierzchnią wartość pieniądza – z mocą Absolutu. Czy zdołamy obronić wizję cywilizacji jako kultury zwanej z mocy etymologii „uprawą wartości”? Staje przed nami strategiczne ale i praktyczne, codzienne wyzwanie: czy zdołamy utrzymać naszą kulturę jako bezinteresowną i autoteliczną służbę wartościom – czy ulegnie ona komercjalizacji, naciskowi rynku, dyktatowi pieniądza, kapitału żądzy i imperatywów zysku? Walka molocha mamony i fetysza zysku z cnotami bezinteresownymi – to wielki motyw naszej rzeczywistości, motyw przewodni spraw najbardziej doniosłych i bardzo niewielkich, epokowych i powszednich.

Obserwujemy z niepokojem tworzące się relacje pomiędzy kulturą a pieniędzmi – chodzi oczywiście nie zawsze o wielką kulturę ale przeważnie o wielkie pieniądze. Relacja ta może wprawdzie mieć sprzężenia zwrotne pozytywne. Ale z niepokojem stwierdzamy, że należy to do wyjątków, a wielki kapitał – i państwowy i prywatny – dyktuje warunki istnienia, lecz także warunki nie-istnienia kulturze jako „uprawie wartości”. Destrukcyjna rola pieniądza i świadomości merkantylnej ma wobec kultury działanie miażdżące. Dzieje się to nie tylko wtedy, gdy publiczny budżet kultury liczy się już nie w procentach ale w promilach dochodu narodowego. Chodzi o globalistyczne zagrożenie całej wielkiej tradycji kultury europejskiej – w tym i polskiej – które polega na tym, że międzynarodowe koncerny przemysłów kulturowych zarzuca rynek kosmopolitycznym, standaryzowanym śmieciem kulturowym, artystyczną mierzwą i tandetą zawierającą w sobie przesłanie pogardy dla wartości, że zdołają narzucić nam pojęcie produktu kulturowego jako towaru i wyłącznie towaru. Zdołają skorumpować zarówno talent artysty, jak i znieprawić rzetelność krytyka, gust mecenas a i poglądy decydenta kultury. Słowem – że zdołają narzucić życiu i kulturze totalną komercjalizację wartości.

Zadajmy pragmatyczne pytanie – kto ma obronić status kultury jako kompozycji wartości bezinteresownych i pozytywnych? Poeci, mistycy, filozofowie, artyści, kaznodzieje, felietoniści? – słowem ci, których język niemieckich romantyków nazywał *Schöne Ziele*, co po polsku brzmi nieco szyderczo – „pięknoduchy”. Czyim obowiązkiem jest nie tylko nie zapominać, ale także przypomnieć innym, że żyjemy w wielkim gmachu kultury zbudowanym na fundamencie wielkich wartości? W każdym z nas tkwi jednocześnie kawał duszy pięknej i duszy pięknej. Mamy dwa jaskrawo wyodrębniające się bieguny i na szczęście cały ocean rzeczywistości pomiędzy nimi, po którym płyniemy. Ale horyzont zamglony, fala wysoka, wiatr w oczy, nie widać nieba. Na szczęście mamy ze sobą kompas.

Dopóki nie uznamy Pieniądza – za wartość wprawdzie – ale wartość służebną a panteon wzniosłych i wyższych wartości za uniwersum nadrzędne i poddane innemu Absolutowi – grozi nam zwichnięcie całego systemu wartości i całego systemu kultury, a wraz z nią – rozbitcie ładu społecznego. Ład życia zbiorowego jest bowiem nie do utrzymania środkami biurokratycznego aparatu prawno-administracyjnego, mechanizmami regulacji rynkowej, ani środkami przymusu – a bez funkcjonującego ładu aksjo-normatywnego.

Przechodzę do drugiego z zapowiedzianych tematów konkretnych – WŁADZY i naszego stosunku do niej. W nauce Ojców Kościoła czytamy, że „każda władza pochodzi od Boga”. A pogląd powszechny i przeważający naszego katolickiego narodu głosi potoczną prawdę, że „polityka to brudna rzecz”, że „władza znieprawia i przewraca w głowie”. Stosunek Polaków do władzy w ich wła-

snym Państwie, któremu trudem i cudem przywróciliśmy niepodległość i suwerenność, demokrację, pluralizm i inne szczytne hasła – jest chory. Władza socjalistycznego reżymu była chora na brak legitymizacji i miała przeciw sobie zmasowany resentyment. Władza demokratyczna przeżywa ciężki strukturalny kryzys samej demokracji wynikły z nieprzewidywanych konsekwencji tamtego okresu. Skutkiem tego jest bardzo dotkliwy spadek poczucia odpowiedzialności obywatela za władzę i dramatyczny spadek akceptacji wobec niej. Weryfikację tego stanu przyniosły wyniki zeszłorocznych wyborów parlamentarnych. W propagandowym szumie mediów zakotłowało się od euforii zwycięzców, kociokwiku przegranych i westchnień ulgi tych, którzy załapali się na 5 procent poparcia. Przeoczeniu i przemilczeniu, oddaleniu z porządku dyskusji uległ rezultat najdonioślejszy i najbardziej negatywny tych wyborów. Ten fakt to statystyka frekwencji wyborczej. Fakt, że w głosowaniu wzięło udział 44 procent uprawnionych nokautuje nasz ethos demokratyczny. Mówi on bowiem, że 56 procent mieszkańców Polski, w dwunastym roku niepodległości nie wzięło udziału w procedurze wyłaniania najwyższych władz w Państwie. Czy więc nadal pozostają naszymi współobywatelami? Czy społeczeństwo po ponad 50-procentowej absencji wyborczej jest jeszcze społeczeństwem obywatelskim, wspólnotą polityczną?

Większość Polaków kierowała się poglądem, który prawdopodobnie da się wyrazić następująco: nie bierzemy udziału w tych wyborach, bo nas one nie interesują: są nam obojętne, bo nie uważamy tych kandydatów za reprezentantów naszego interesu, naszego dobra; bo my im z góry nie wierzymy i ich nie szanujemy. Pozostaliśmy w domu, żeby tym wyrazić, że żaden z kandydatów i całe te wybory – to nie nasi kandydaci i nie nasza sprawa! A po wyborach mogą oni słusznie powiedzieć – to nie jest nasz Rząd, ani nasz Sejm, bo myśmy go nie wybierali. I oto w wyniku wyborów mamy Rząd o bardzo słabym mandacie społecznym z genezy swej – mniejszościowy, bo wyrażający wole co najwyżej 20 – 25 procent elektoratu. To równa się klęsce demokracji przedstawicielskiej – potrzebna jest nam jakaś inna baza demokracji, inna ordynacja, inna konstytucja i formuła ustrojowa. A jaka inna jest możliwa? Jest możliwy model demokracji samorządowej, a nie partyjnej; bezpośredniej, a nie przedstawicielskiej; lokalnej i regionalnej, a nie wyłącznie parlamentarno-gabinetowej; opartej na systemie dialogowego współdziałania i bezpośredniego komunikowania się, a nie demokracji sterowanej przez sondaże opinii publicznej i propagandę medialną.

Choremu stosunkowi Polaków do władzy odpowiada symetrycznie chory stosunek władzy do obywatela. Państwo „na dzień dobry” żąda równo od każdego – dorobionego krezusa i ubogiego emeryta – co najmniej 1/5 jego osobistych dochodów. A w rzeczywistości zagarnia z nich, przez podatki pośrednie, *suma summarum* nie mniej niż połowę tego, co obywatel wypracuje. Lecz Państwo z tego obywatelskiego haraczu nie jest w stanie zapewnić, ani gwarancji spr-

wiedliwości, ani ładu i bezpieczeństwa osobistego, ani ustawowych wydatków na służby publiczne, drogi, czy zapomogi dla bezrobotnych, ani nawet zapewnić uprzejmego i praworządnego traktowania petentów w swych urzędach. Co więcej jest wstrząsane codziennymi aferami korupcji i skandalami niegospodarności. Każdy z obywateli może i powinien sobie zadać oczywiste pytanie i udzielić oczywistej odpowiedzi – po co nam takie Państwo? Nie takiego Państwa potrzebujemy, nie takiego oczekiwaliśmy. Państwo, w którym rządzi cyniczna zmowa polityków, beznadziejnie skłóconych z opozycją, oligarchia partyjnych nominatów, o których w dodatku nie wiadomo dokładnie, który z nich jest, a który nie jest, niezlustrowanym sługą, kiedyś służącym tajnej policji politycznej reżymu opresyjnego – takie państwo nie zasługuje na przyzwolenie, ani na poparcie ze strony swoich poddanych. Toteż widzimy jaka do niego manifestuje się skrywana, a tu i ówdzie jawna nienawiść, wrogość lub zimna obojętność i powszechna obawa przed nim.

Pozornym i fałszywym lekarstwem na tę dolegliwą sytuację widzi mi się usilne dążenie establishmentu do pospiesznej i bezalternatywnej akcesji w Unii Europejskiej na podstawie kompromisów taktycznych w procesie negocjacji. Chory stosunek obywatela do władzy i chory stosunek władzy do obywatela – to jest nasz wewnętrzny, nie rozwiązany kłopot i jedno z najpoważniejszych zagrożeń ustrojowych. Jeśli ten niesprawny i szkodliwy system zostanie włączony w tryby unijnej biurokracji, fiskalizmu, dominacji i manipulacji, oznacza to wystawienie się na niebezpieczeństwo wielkiego konfliktu społecznego. Przekazanie gestii państwa, które nie dokończyło „transformacji”, w ręce organizacji ponad-państwowej – z taką kulawą demokracją i taką mentalnością polityczną większości Polaków – to pewna utrata suwerenności we własnym kraju, utrata roli gospodarza majątku narodowego, nie mówiąc o groźbie rozmycia tożsamości, ubytku prestiżu i poważania.

Kraj bez umocnionej rządności i praworządności, politycznej konsolidacji, stabilnego poczucia narodowej racji stanu i ugruntowanego zaufania do własnego państwa – nie zostanie poratowany i zaopiekowany przez Unię. Zostanie przez nią bezwzględnie wykorzystany i skolonizowany ponieważ jest politycznie bezbronny. Jestem oczywiście za integracją z europejską wspólnotą jako Ojczyzną Ojczyzn, lecz tylko wówczas, kiedy moja Ojczyzna będzie IV Rzeczpospolitą, państwem większości obywateli.

Pozwólcie Państwo teraz zająć swą uwagę sprawą stosunku ZIEMI, nie bacząc na to, że poruszenie tego tematu może nas postawić pod zarzutem – *excusez le mot* – ciemnogrodu i ksenofobii. Bo cóż – obok „polskiej mowy”, „polskiej krwi”, „polskiej poezji i historii”, „polskich męczenników, bohaterów i świętych” – jak nie temat „polskiej ziemi” prowokuje niedwuznaczne oskarżenie o nacjonalizm?!

Nie uciekajmy jednakże przed tym zarzutem, przyjmijmy go. Tak radzi o. Józef Bocheński niedawno zmarły polski myśliciel i filozof żyjący na Zachodzie. Zauważa on trzeźwo, że nacjonalizm narodów europejskich jest częścią ich ideowego i politycznego elementarza i nie jest tam wcale sprawą wstydliwą. Przeciwnie – zachodni mężowie stanu, luminarze opinii publicznej i zwykli ludzie szczytą się posiadaniem *the national idea, le patrimoine nationale* czy wręcz „egoizmem narodowym” jako przesłanką działań prawnych, ekonomicznych i politycznych. A zwłaszcza działań w obszarze kultury i języka. Toż samo czytamy u nieodżałowanego Pawła Hartza: *Użyję – pisze – niepopularnego słowa „nacjonalizm”, który pojmuję jako naturalną chęć zapewnienia trwałego i godnego bytu zbiorowości do której przynależę i nie musi to oznaczać chęci panowania, podboju lub zniewolenia innego narodu... Przeciętny Anglik, Francuz czy Niemiec coś posiada, jest za coś odpowiedzialny, jego życie rozgrywa się w określonej przestrzeni, pośród zbiorowości mówiącej określonym językiem ect. Każdy przeciętny Europejczyk jest w tym sensie nacjonalistą. [...] Niektórzy polscy intelektualści odnoszą się zresztą ze zrozumieniem i uszanowaniem do nacjonalizmu Litwinów, Żydów, czy Ukraińców, ale biadają zarazem nad „ciasnotą i ciemnotą” polskiego nacjonalizmu.*

W tym gronie nie wypada mi tłumaczyć, że w naszym zasobie pojęć mamy obok nacjonalizmu także patriotyzm. Oraz i tego, że zdarza się patriotyzm przesadzony, zniekształcony lub nawet wypaczony – patriotyzm „obłączonej twierdzy” i „płaczki narodów”. Ale nie możemy z tego powodu powstrzymywać się przed poczuciem afirmacji Ojczyzny wyznawanej na trzeźwo, traktowanej na serio jako obligatoryjna część świadomości obywatelskiej, edukacji publicznej.

Polska leży w określonym miejscu na terytorium Europy – w samym jej środku. Tutaj od stuleci krzyżowały się i wchodziły w krwawe konflikty sprzeczne interesy dwóch, a niekiedy i więcej niż dwóch ekspansywnych mocarstw i potęg imperialnych. I ta sytuacja wcale nie uległa zmianie w czasie obecnym. Pokolenia Polaków broniły tego terytorium jako swego miejsca na ziemi i swojego wspólnego dobra, nieodłącznej części składowej własnej Ojczyzny, w poczuciu, że są prawowitymi gospodarzami tej ziemi, jej autochtonami od stuleci. Jako naród rolniczy Polacy byli zrośnięci z ziemią na śmierć i życie. W nieprześcignionej, jak dotąd, *Socjologicznej analizie pojęcia ojczyzny* Stanisław Ossowski wyróżnił cztery jej składniki definicyjne: (1) Ludzie – czyli minione pokolenia narodu i aktualna populacja narodowa; (2) Ziemia – czyli terytorium przez nią zamieszkałe, jej środowisko bytu, jej bogactwa, krajobraz, granice; (3) Kultura – a więc pełny krąg dziedzictwa duchowego, tak rodzimego, jak i przyswojonego; (4) oraz dodawał do tego składnik polityczny w postaci państwa narodowego. W „teologii narodu” ks. prof. Cz. Bartnika znaleźć można jeszcze inne składniki – i konkretne, i imponderabilne narodu i pojęcia narodowości. Wśród nich

jest jednak wyróżniony składnik „ziemi ojczystej”. W świetle tej koncepcji, a zwłaszcza w świetle rozwiniętej socjokulturowej analizy stosunku narodu do ziemi – nie sposób nie zrozumieć, że dziś problem ziemi, to nie tylko kwestia prawna i ekonomiczna, sprawa własności, nie tylko warunki sprzedaży jej cudzoziemcom, zawile negocjacje co do terminu odroczenia swobodnego obrotu ziemią ect.

Nie uwzględnia się obecnych w problemie ziemi komponentów pozamaterialnych, aspektów symboliczno-kulturowych, siły zbiorowych sentymentów. Ziemia-żywicielka, ziemia kryjąca groby przodków, ziemia której się broni i którą się kocha z jej krajobrazem, miejscami pamięci, osobistymi doznaniem dzieciństwa i młodości – to sfera dość beztrzesko ignorowana przez naszych negocjatorów i ich mocodawców. Ale są także i pragmatyczne względy ochrony ziemi jako dobra wspólnego, dobra narodowego. Bogactwa naturalne, kopaliny, gleba uprawna, szata roślinna, kultura rolna, woda, szlaki komunikacyjne, tereny rekreacyjne, przestrzeń życiowa, obszary publiczne, tereny budowlane i przemysłowe, tereny rezerwowe pod przyszłą infrastrukturę, a przede wszystkim strategiczne położenie na kontynencie – to wszystko składniki kalkulacji wartości ziemi jako terytorium narodowego. Terytorium jest ramą cywilizacyjną populacji ludzkiej i jednocześnie przedmiotem jej bogatych odniesień kulturowych, niekiedy porównywalnych lub nawet utożsamianych z jego sakralizacją. Stąd gest ucałowania ziemi jest tak wymowny.

Skłaniam się do poglądu, że Polacy na własnej nie zagrożonej ziemi będą lepszymi Europejczykami, niż wtedy, gdy będą gotowi ją łatwo wyprzedać przybyszom. Bo gdy już ją wyprzedadzą, będzie można im powiedzieć – nie macie własnej ziemi w Europie – emigrujcie do Ameryki lub do Australii lub – prześnuć się dalej na wschód – ku Syberii! Słowem zarówno względy pozamaterialne, jak i pragmatyczne skłaniają do wniosku, że dobrze zrobimy trzymając się własnej ziemi. Zarówno rachunek ekonomiczny, jak i rachunek wartości imponderabilnych nakazuje nam trzymać się ziemi i dobrze gospodarować na niej.

Poza wszystkimi poruszonymi względami bowiem, gatunek *homo sapiens*, tak samo jak wielu jego braci mniejszych, jest stworzeniem terytorialnym i dobrze jest respektować tę cechę jego przyrodzenia jako jedno z praw naturalnych, równie ważne jak kod genetyczny, przy którym niezdrowo jest gmerać. Prawo do ziemi jest jednym z niezwykłych „praw narodu” – równie doniosłych jak uznane „prawa człowieka” w Karcie Narodów Zjednoczonych.

Przechodzę do zagadnienia trwania w CZASIE, jaki się ukształtował w naszym społeczeństwie. Nie jest to jedynie problem formowania się świadomości zbiorowej pod przemożnym wpływem historii, tradycji, pamięci. Doświadczenie przeszłości i swoisty kult dziejów narodowych – jakkolwiek bardzo charakterystyczny dla Polaków – są tylko częścią zagadnienia.

Rozpocznijmy od stwierdzenia na temat potocznego i powszechnego pojmowania ważności dziejów. Zdziwiał mnie niejednokrotnie, że mając tak pouczającą historię i tak świetną elitę wybitnych historyków oraz plejadę utalentowanych popularyzatorów historii, nie możemy powiedzieć o sobie, że jest ona naszą *magistra vitae*. Do świadomości powszechnej nie trafiły niektóre najważniejsze przesłania, a nawet podstawowe fakty z naszej przeszłości. Uległy natomiast wyjaskrawieniu inne, tendencyjnie i sztucznie nagłośnione poszczególne wydarzenia i ich przesadzone nadinterpretacje. Zawartość historii zadomowiła się w świadomości jako system statycznych atrap, zastygłych stereotypów przeszłości, niepowiązanych w ciąg przyczynowy „miejsca pamięci” – słowem, jako historyczne *silva rerum*. Uobecnia je w pamięci i czyni przedmiotem uwagi publicznej system rocznic, jubileuszy, obchodów i świąt rytuału publicznego, uroczystości i namaszczonej celebry, lecz niestety pustej i formalnej ceremonii wypełnionej recytacją stale tych samych banałów na temat – raz martyrologii, raz megalomanii. Historia może być nauczycielką mądrości życia tylko wtedy, gdy rzetelnie przemyślana w swych trudnych epizodach, decydujących o sensie dziejów – zostaje „na żywo” wprowadzona do modelu edukacji. Historia papierowa i podręcznikowa zabija świadomość i rozumienie wpływu dziejów na teraźniejszość. Historia zaś odświętna, ozdobnikowa i koturnowa jest wymarzoną orężem manipulatorów, niezastąpionym tworzywem producentów świadomości fałszywej.

Tak właśnie amnezja pokrywa całe sekwencje faktów układających się w procesy dziejowe, ciągi długiego trwania, zaciera nazwiska i imiona rzeczywistych, choć niekiedy cichych bohaterów, milczy o wielu pozytywnych, chwalebnych i prekursorskich dokonaniach naszych przodków. Historia całego tysiąclecia polskiego – średniowiecza, renesansu, baroku i sarmatyzmu – a zwłaszcza dzieje nowożytne z podkreśleniem szczególnej roli pozytywizmu i modernizmu polskiego, a także przebogaty materiał historii najnowszej (z ciągle obecnymi śladami „białych plam”) – to swoista *terra incognita* niedostępna zwłaszcza młodzieży w wieku największej chłonności umysłu, fascynacji uczuć. Ze szczególnym naciskiem wskazałbym na głębokie niedowartościowanie historii społecznej, cywilnej, dziejów idei, ruchów i inicjatyw obywatelskich, dziejów politycznych, historii kultury, sztuki i obyczaju, historii gospodarczej – a nadwartościowanie i zmajoryzowanie obrazu przeszłości przez historię militarną, apoteozującą zbrojny patriotyzm, historię martyrologiczną, historię klęsk, przesładowań, krzywd i niepowodzeń – na przemian z dziejami cudownych tryumfów oręża.

A jednocześnie można powiedzieć, że izolowane wysepki historycznej świadomości sterczą samotnie wynurzając się z dominującej niepodzielnie nawały codzienności, spod grubej i przytłaczającej lawiny informacyjnej „bieżączki”. Cały nasz aparat komunikacji społecznej nastawiony jest obsesyjnie na doraźne

przeżywanie terażniejszości. Toniemy w systemie natychmiastowej i powszechnej informacji o wydarzeniach i krzykliwych sensacjach, o masie faktów i „faktoidów” (czyli „faktów prasowych”), które wydarzyły się wczoraj i dziś rano. Rozwrzeszczane media z uporczywą gorliwością prześcigają się w zapelnianiu zbiorowej świadomości nawałnicą informacji ważnych, mniej ważnych i całkiem nieważnych – byleby były aktualne, epatujące, najlepiej – szokujące. Zmienny co dnia żywioł terażniejszości, codzienności, moloch serwisu doniesień o rewelacjach dnia – kształtuje i zniekształca, absorbuje i zawłaszcza całe pole świadomości i opinii publicznej.

Myślenie prezentystyczne jest zamknięte zarówno na patos historii jak i na zagadkę przyszłości.

A gdzie słyhać o przyszłości? Przyszłości jakby wcale nie było w naszym zbiorowym myśleniu i przeżywaniu czasu. Jest to ogniwo najwęższe zbiorowego, lecz także indywidualnego doświadczania czasu. Niedysiejsza „futurologia” splajtowała intelektualnie. Uwikłana w fałszywe założenia, dostarczyła mnóstwa nietrafnych, absurdalnych diagnoz i prognoz, zupełnie minęła się z realnym biegiem dziejów. Zastąpiła ją pustka myślenia strategicznego o przyszłości, brak wysiłku w sztuce stawiania celów, zanik inwencji nowatorskich projektów przyszłości. Ustała ideowa organizacja wyobraźni, nie mówiąc o profetyzmie wieszczów. Zapanował jakby lęk przywódców i autorytetów przed odważnym formułowaniem perspektywicznej wizji nowych czasów, lepszej przyszłości. Mamy poczucie dryfowania do przodu w nurcie czasu – lecz z głową odwróconą wstecz.

Myślenie o przyszłości jest jednakże obowiązkiem wszystkich zdolnych do myślenia. Wymaga ono zarówno odniesienia się z całą powagą do genezy stanu obecnego, do trudnej nauki jakiej udzieliła nam historia, a zwłaszcza – i chwalebne i zbrodnicze – dzieje Europy XX wieku.

Potrzebujemy wiedzy o tym, co się z nami stało, w którym punkcie procesu dziejów się znajdujemy i jakie wektory przyszłości mamy do wyboru.

Rozpocznę drugą część moich rozważań od wyakcentowania fascynujących wydarzeń naszej i europejskiej historii najnowszej.

Nie waham się mówić tu o „cudach XX wieku”, które przemieniły świat – ale przemieniły go z naszym udziałem. Zmiana geopolitycznej struktury świata w ostatnich dekadach wieku miała swoje epicentrum w naszym regionie i w naszym kraju. Polski Sierpień i wybuch Solidarności na równi z klęską agresji w Afganistanie, z katastrofą Czarnobyła, upadkiem muru Berlińskiego i „aksamitną rewolucją” w krajach środkowo-europejskich – to milowe przyczynki do rozsypania się Imperium Sowieckiego pod swym własnym ciężarem. Czy to nie cud, że bez wojny światowej upadło „imperium zła”? Dla świata oznaczało to koniec zimnej wojny i porządku opartego na równowadze strachu przed

konfliktem nuklearnym dwóch potęg światowych. A dla nas dodatkowo było powtórnym odzyskaniem niepodległości w tym stuleciu, zmianą ekonomii i ustroju politycznego, otwarciem wolnego rynku i powrotem do tradycyjnej jedności z cywilizacją zachodnią, doświadczeniem wolności.

Zostaliśmy zaskoczeni tak nieprawdopodobną i opatrnościową odmianą losu. Okres „transformacji systemowej”, jaki po niej nastąpił, przypomina jednak – biorąc pod uwagę stan społeczeństwa i państwa – raczej balon na uwięzi, niż lot szybującego orła. Dziś okres tej transformacji już dogasa, ustępuje – a my jako społeczeństwo bezskutecznie borykamy się ze złym i nieprzezwyrodnym spadkiem po półwieczu podwójnego totalitaryzmu (1939 – 1989). Stale znajdujemy się w stanie ideowego spętania, politycznego zablokowania, zahamowania potencjału społecznego i ludzkiego, przytłoczeni balastem dawnych i nowych błędów, z których nie ma wyjścia. Wszystko to nie pozwala pójść naprzód pełną szybkością. Nie zdołaliśmy rozliczyć się z doświadczeniem półwiecza historii – to znaczy z jego zbrodniami i zbrodniarzami; a z drugiej strony nie umiemy docenić i nie zmarnować – a przeciwnie – spożytkować tę sumę dobra, którą jako społeczeństwo mimo wszystko swym trudem wykreowaliśmy. To także swoisty cud – tyle że negatywny, stanowiący źródło powszechnego pesymizmu.

Pontyfikat Jana Pawła II – który sam w sobie jest kolejnym z cudów XX wieku – oraz seria dziewięciu wizyt papieskich w Ojczyźnie, z których pierwsza przyniosła efekt tak piorunujący – są każdorazowo bodźcem wzbudzającym w całym społeczeństwie nadzieję, potrzebę i oczekiwanie wielkiej przemiany. Ale jej jeszcze ciągle nie doświadczamy, gdyż przesłanie Papieskie jest może zbyt wielkie i nieogarnione, aby tę wielką przemianę sprawić już teraz. Zastępujemy ją doraźną kilkudniową fascynacją emocjonalną nazywając to doznaniem „uświęcenia”.

Choć prawdę mówiąc ta przemiana dokonała się już w inny sposób, w innym wymiarze i jakby bez Jego i naszego udziału – ogarnęła nas nie docierając w pełni do świadomości, nie galwanizując postawy myślowej i nie poruszając horyzontu duchowego ani elit, ani mas narodu.

Niepostrzeżenie lecz radykalnie, bo o 180 stopni odwróciła się logika naszego narodowego losu. Porównajmy pierwszą i drugą połowę XX stulecia. Pierwsza należała do epoki wielkich wojen, które podobnie jak XIX-wieczne powstania i wojny wciągnęły nas w morderczy wysiłek zbrojny dla odzyskania i obrony niepodległości. Cel ten nie przestał być aktualny w drugiej połowie wieku, ale środki jego spełnienia odmieniły się całkowicie. Ostatnimi aktami historii militarnej naszego ubiegłego stulecia były: bohaterskie zdobycie Monte Cassino, wybuch i upadek Powstania Warszawskiego, szarża armii pancernej gen. Maczka od Falaise do Hamburga, desant komandosów Sosabowskiego pod Arnheim i szturm na Berlin Armii Berlinga wraz z Armią Czerwoną. W dekadach drugiej połowy wieku następował jakby niewidoczny obrót osi historii – ku bie-

gunowi nie-militarnemu i zmiana ducha dziejów ku formom walki ale nie-zbrojnej, prowadzonej środkami politycznymi, metodą rokowań i negocjacji. Choć czasy były pełne konfliktów, napięć i antagonizmów, a armie stały w pogotowiu, Polacy po raz pierwszy od czasów Konfederacji Barskiej wygrali wielkie powstanie narodowe bez walki zbrojnej, wojny domowej, bez hekatomby ofiar. Owszem były tragiczne ofiary w trakcie pacyfikacji „polskich miesięcy”, pomiędzy nimi i w czasie stanu wojennego. Ale jak na tę skalę przemian historycznych ich liczebność nie przekraczająca rzędu setek, nie jest porównywalna z setkami tysięcy i milionami ofiar XIX i XX wieku.

Nastąpiło, mówiąc metaforą ewangeliczną, „przekucie mieczów na lemiesz”. Nastąpiło jakieś wielkie przewartościowanie metod walki o cele narodowe, a jednocześnie splot opatrnościowych okoliczności – jak ta, że po 250 latach, bez mała, ciągłej obecności sił zbrojnych naszego wschodniego sąsiada, zaborcy, okupanta i narzuconego sojusznika na terytorium Polski – w roku 1992 Armia Radziecka wycofała się bez jednego wystrzału. Lub jak to, że nasze kontyngenty wojskowe są zaangażowane w kilkudziesięciu zapalnych punktach świata, lecz w charakterze sił pokojowych, porządkowych i rozjemczych. Zmiana sojuszu z Układu Warszawskiego na udział w sojuszu NATO – czyli z militarne-go sojuszu ofensywnego na polityczno-obronny – jest częścią tej wielkiej przemiany świata i Polski w świecie. Gdzie indziej na kontynencie europejskim i wokół niego wybuchały konflikty zbrojne i walki etniczne, terroryzm i zbrodnie wojenne. W naszym kraju możemy zanotować w tymże czasie względny okres dobroczynnego pokoju, promieniowanie na kraje ościenne woli pokojowego współżycia i układania stosunków na gruncie dobrego sąsiedztwa. To także wiele kosztuje, ale w innej walucie niż danina krwi.

Wiek XX był wiekiem ogromnej lekcji, której – mam wrażenie – nie zdołaliśmy jeszcze przerobić i przemyśleć, pojąć w całości, zrozumieć i docenić, choć już tak wiele zdołaliśmy po tym pół-stuleciu – odbudować i odtworzyć i tak przy tym wiele dostać do myślenia.

Zwróćmy uwagę na role tzw. „wielkich idei kierowniczych” ludzkości i narodów. Lub ściślej biorąc – na aktualny brak takiej idei przewodniej, dominującej nad myśleniem powszechnym, motywującej działania polskiej zbiorowości narodowej.

Taką nadrzędną ideą przełomu wieków XIX i XX i Polski międzywojennej była idea niepodległościowa. Przerodziła się ona, choć nie bez trudności w ideę budowy państwa narodowego. Sprawdzeniem siły tej idei była postawa społeczeństwa w okresie okupacji wobec państwa podziemnego.

Po roku 1945 tę ideę przykryła inna – także o wielkim zasięgu i sile sprawczej: hasło „odbudowy Polski ze zniszczeń wojny” i jednocześnie „przebudowa ustroju w duchu demokracji ludowej i sprawiedliwości społecznej”. Ten nastrój

wkrótce zgasiła opresja stalinizmu. Potem pojawiły się znacznie węższe ideologie choć silnie lansowane i indoktrynowane, lecz płytko zakorzenione, zbudowane na fałszywych i obcych założeniach filozoficznych. Prób lansowania „polskiej drogi do socjalizmu”, „małej stabilizacji”, czy nawet „budowy drugiej Polski” nie można zaliczyć do wielkich ideologii rzucających naród na kolana. Były to raczej propagandowe atrapy. Próby ideologicznej podbudowy socjalizmu, nawet „z ludzką twarzą”, nie powiodły się.

W latach 70. dojrzał ruch rewizjonizmu w partii i opozycji demokratycznej w narodzie, przemieniając się w masowy zryw Solidarności. Ale jej ideologia była zbyt obciążona hasłami protestu i buntu, kontestacji i rewindykacji, aby wykreować trwalsze i głębsze efekty ideologiczne. Zmieniając hasła „etosu Solidarności” z lat 80. na hasła „powrotu do normalności” u progu lat 90. – zgubiłmy po raz kolejny „złoty róg”.

Mówiono wówczas na Zachodzie o „zmierniku wieku ideologii” ale mimo to pojawiły się na naszym horyzoncie ideologie importowane, propozycje i prądy umysłowe nowej generacji. Żaden z nich jednak nie przyjął się na polskim gruncie, z wyjątkiem wąskich enklaw, koterii politycznych i medialnych. Liberalizm nie zaowocował ani wolnym rynkiem (mamy rynek zmonopolizowany i biurokratycznie ograniczony), ani wolnymi mediami, ani wolnymi wyborami – o czym była mowa. Ponadto skompromitował się w wielu punktach, pokazując swą felerną twarz na przykład w postaci bzdury politycznej poprawności, agresywnego feminizmu, propagandy antynatalistycznej i wielu jeszcze gorszych rzeczy.

Konsumeryzm i konsumpcyjny hedonizm – jakkolwiek zajadle lansowany przez media – nie może pretendować do miana ideologii w kraju, gdzie panuje niedorozwój ekonomiczny, kryzys budżetu publicznego, bieda i bezrobocie połowy społeczeństwa.

Lata 90. upłynęły w Polsce na ideologicznej dezorientacji, rozproszeniu opcji, zamęcie, deficycie autorytetów i szumie ideologicznym. Stanęliśmy w oczekiwaniu jakiejś innej, głębszej i bardziej porywającej idei przewodniej, która zdołałaby poruszyć powszechnie odczucia, nadała sensu myśleniu, bodźca działaniom i zgalwanizowała całą zbiorową egzystencję Polaków.

Obserwując rozwój sytuacji wydaje mi się możliwe dostrzec załączki lub przesłanki i obiecujące perspektywy dla dwóch nurtów ideowych, które mogłyby ożywić naród, tak jak kiedyś przeniknęła go na wskroś i zawładnęła umysłami idea niepodległości.

Podstawą pierwszej jest papieskie hasło „Cywilizacji Miłości i Życia”. Religijne podłoże i chrześcijańska geneza tego wezwania trafia pod szeroki adres – nie tylko do katolików będących w większości, lecz i do wielu ludzi wyznających laicki humanitaryzm, nawet gdy są „wierzącymi inaczej” lub ateistami. Hasło to czytelnie broni podstaw egzystencjalnych i moralnych fundamentów

kultury przeciwstawiając się jednocześnie wielkim plagom „cywilizacji śmierci, kłamstwa, przemocy i absurdu”, stając się ratunkiem przed filozofią nihilizmu i postmodernistyczną fanaberią.

Drugą potencjalną myślą przewodnią możliwej do wyobrażenia ideologii kierowniczej jest uniwersalizm (nie należy go mylić z globalizmem). Obejmuje on swym zasięgiem i uzasadnia jednocześnie dążenia pro-europejskie, będące krokiem, którego nie można postawić inaczej jak przyjąwszy najpierw imperatyw otwarcia się ku światu i włączenia w nurt ponadnarodowy, życie kontynentu i wspólne sprawy ludzkości. Dałem już kiedyś wyraz takiej parafrazy: aspiracją Polaków było „wybicie się na niepodległość” – dziś powinno nią stać się „wybicie z niepodległości na uniwersalizm”. Ta opcja – wymuszana przez rozwój sytuacji globalnej i międzynarodowe zaangażowania Polski – jest jakby naturalnym wektorem naszego losu, lecz na razie braknie jej wyraźnie wyartykułowanej wykładni ideologicznej. A ponadto całego anturażu ideologii w postaci kontekstu literackiego akompaniamentu sztuki, publicystyki, a nawet przekonującej propagandy. W tej mierze powinniśmy – mówiąc aforystycznie – pójść linią Norwida „od narodowego – ku Ludzkości” rozumiejąc, że do wartości ogólnoludzkich dochodzi się tylko drogą własnego narodu. Taką drogą poszło wielu znamienitych Polaków: J. Conrad-Korzeniowski, I. Paderewski, J. Czapski, J. Giedroyc, W. Gombrowicz, Zb. Herbert.

Tu, jak sądzę czas na przywołanie problemu polskości w nadchodzących czasach. Problemu tożsamości polskiej kultury narodowej, zachowania jedności populacyjnej, językowej, historycznej, utrzymania państwa o charakterze unitaryjnym, umocnienia jego roli wobec najbliższych sąsiadów w Europie Środkowej i całej Europie, zarówno zachodniej jak i wschodniej. Jednocześnie z tym kompleksem problemów i na jego tle pojawia się zagadnienie regionów i ich autonomii, podziału regionalnego, nowoczesnego regionalizmu jako ideologii i jako strategii.

Czytelna wydaje się strategia pewnej wpływowej większości funkcjonariuszy Komisji Europejskiej i parlamentarzystów Zgromadzenia Europejskiego zapisana w deklaracji z Maastricht, aby docelowo jednoczyć Europę jako federację regionów, a nie koalicję państw narodowych. W pewnej dominującej frakcji poglądów „europejskich” uznaje się je za przeżytek zagrażający odrodzeniem się postaw i ruchów nacjonalistycznych, szowinizmów czy wręcz neo-faszyzmu. Koncepcji Europy jako wielkiej Ojczyzny Ojczyzn narodowych z zachowaniem pełnej autonomii i suwerenności – przeciwstawia się Europę zunifikowaną, o zatartych granicach, jednolitym prawodawstwie, walucie, rynku, obszarze celnym, wolnym przepływie siły roboczej, kapitału, towarów i informacji. Jest to w wyobraźalnej przyszłości wspólny konglomerat wielo-kulturowy, w którym na pierwszym miejscu jako jednostka administracyjna znajduje się

region. Już dziś administracja brukselska stosuje bezpośrednie dotowanie planów rozwoju regionalnego z pominięciem administracji państwowej.

Jest to koncepcja wynikająca głównie z doświadczeń i preferencji niemieckich – z tradycji Landów. A także swoiście odpowiada interesom Niemiec w Europie, a znacznie mniej na przykład Hiszpanii, Włoch czy W. Brytanii. Tyrol jako jeden region o terytorium znajdującym się w obszarze państwowym Austrii, Włoch i Bawarii; Śląsk na trójstyku Czech, Polski i Niemiec; Alzacja na pograniczu Niemiecko-Francuskim, czy „Prusy Wschodnie” dziś, jak się uważa, niesłusznie podzielone granicą Polski i Rosji, a stanowiące jeden naturalny region – to są przykłady realnie formowanych planów kształtowania regionów. Idea „euroregionów” na granicach terytorialnych państw stanowi jeszcze dalej zaawansowany projekt.

Nie przesądzam tymi stwierdzeniami przyszłej polityki i przyszłej mapy Europy, nie sposób jednakże nie zauważyć, że taka polityka regionalna znajduje się w konflikcie z obowiązującym porządkiem nienaruszalności granic terytorialnych państw europejskich ukształtowanych po II wojnie światowej, który jak dotąd nie został odwołany. Ale ponadto pozostaje w konflikcie znacznie bardziej zapalnym i zasadniczym – z tradycją i ideologią państw i ojczyzn narodowych, zwłaszcza w Europie Środkowej i Wschodniej – odmiennej pod tym względem od Zachodu Europy. Tutaj bowiem idea państwa narodowego jest ideą żywą i bardzo wrażliwą ze względu na to, że tym narodom na tak długo ją przemocą odebrano, a zwrócono tak niedawno, na tak krótko i za ceną tak wielkich ofiar. Ta idea nie jest tutaj zdezaktualizowana, ani pod względem politycznym, ani gospodarczym ani tym bardziej kulturowym. Ma ona w tej części Europy jeszcze wiele do zdziałania zresztą wielu jest takich, którzy sądzą, że w Zachodniej Europie – także.

Niezależnie od tego kontrowersyjnego dylematu trzeba stwierdzić, że fenomen regionów i regionalizmu w Europie jest starszy od Unii Europejskiej i deklaracji z Maastricht, niekiedy tak samo wielowiekowy jak historia Państw. Idea zaś integracji regionalnej i rozwoju regionalnego jest słusznie uważana za nośne i pozytywne hasło. Dziś już możemy obserwować i przewidywać na przyszłość rozkwit regionów i polityki regionalnej w Europie, a także w Polsce gdzie ruch regionalny obudził się – na podłożu znacznie starszych tradycji i zaszłości historycznych około 200 lat temu, to jest w początkach epoki zaborowej. Był to ruch patriotyczny i obywatelski, społecznikowski, pozytywistyczny i modernistyczny. I z tymi tradycjami odrodził się bardzo dynamicznie w końcowej fazie XX wieku.

Ale w polskiej tradycji ruch regionalny i ruch patriotyzmu lokalnego nie był nigdy sprzeczny z ideą narodową, nie był separatystyczny, przeciwnie – był częścią ogólnego ruchu ściśle współpracującą z wysiłkiem przywrócenia niepodległości państwowej, zachowania jedności kulturowej z całym podzielonym narodem.

A zatem i w tej płaszczyźnie trzeba będzie znaleźć się w konflikcie między „europejskim” (czy raczej „brukselskim”) punktem widzenia, a rodzimym modelem regionalizmu. To jest dylemat wymagający bardzo zasadniczych dyskusji, solidnych rozwiązań programowych, precyzyjnych kryterialnych i pryncypialnych ustaleń i decyzji.

W ostatniej części mego wystąpienia odniosę się bardziej szczegółowo do zagadnień polskiej kultury narodowej rozumiejąc, że ona obok innych czynników stanowi gwarancję zachowania tożsamości i w jej repertuarze znajduje się całe instrumentarium budowania świadomości niezbędnej Polakom w najbliższej i dalszej przyszłości. Utrzymanie autentyzmu, niepodległości i suwerenności w płaszczyźnie kulturalnej uważam za strategiczną – nie zaś dodatkową lub marginalną – część polskiej racji stanu.

Z pełną powagą i afirmacją powinniśmy się odnieść do głębokich, historycznych źródeł kultury polskiej jako odrębnej i równoprawnej części dziedzictwa europejskiego, ukształtowanego na tle tradycji innych kultur narodowych, innych języków, literatur, przekazów historii, tradycji obyczajowych i dorobku sztuki.

Paradoksalnie – czym głębiej znajdujemy się w stanie integracji ze wspólnotą międzynarodową bliższych i dalszych sąsiadów – tym pieczołowiciej musimy artykułować i bronić własnego kanonicznego zasobu kultury narodowej, szanować i uczyć szacunku wobec swoistości i rodzimości jej dorobku. Standardem europejskim na przykład w najbliższym czasie będzie bilingwizm lub nawet poliglodyzm, czyli wymaganie biegłego posługiwania się i kontaktowania w sytuacjach roboczych jednym lub dwoma językami oprócz języka rodzimego. Będzie to obowiązujący standard edukacyjny. Ale to właśnie wymaganie – oczywiście w świecie otwartego społeczeństwa informatycznego – musi iść w parze z równoległym kultem piękna i poprawności polszczyzny z troską o język codzienny i język literacki. O zachowanie jego subtelnych właściwości komunikacyjnych i właściwości jako tworzywa przekazu literackiego, poetyckiego. W tym języku musimy umieć opisać zarówno własne doświadczenie jak i wyrazić problemy szerokiego świata.

Poszukując wniosków godnych podsumowania dokonań kultury polskiej na koniec wieku, wypada moim zdaniem, postawić jasne i zasadne tezy: o nie spożytej kreatywności, oryginalności i autonomii tej kultury; o jej zdolności do trwania i przetrwania klęsk i zapaści dziejowych; i mimo to – do generowania i reprodukcji własnej tożsamości. To zaś oznacza trwałą zdolność do zasilania zbiorowego podmiotu kultury – z zasobów własnej tradycji, a także z zapożyczeń przyswojonych ze świata.

Polska twórczość kulturowa wyższego poziomu jest zdolna wytwarzać rozległe pola promieniowania, zagarniające pełny krąg różnorodnych praktyk i doświadczeń. Jednym słowem – jest zdolna „przetwarzać doświadczenie w tekst”.

Własne doświadczenie twórcze i doświadczenia egzystencjalne własnego społeczeństwa – w tekst złożony z różnorodnego tworzywa symbolicznego wyrażony w wielu kodach komunikacji społecznej, wielu językach artystycznych.

Jest zdolna dostarczyć całej populacji kulturowej, wszystkim piętrom zaawansowania, swe kanoniczne, a także stale odnawiające swą formę i treść, wytwory sztuki, znanstwa i wyobraźni. Może ona być jednocześnie narzędziem autoanalizy i samo-potwierdzenia.

Jest też kultura polska, po doświadczeniach XX wieku gotowa i zdolna służyć swymi wytworami i swym potencjałem nie tylko własnemu społeczeństwu. Może być służebną i atrakcyjną także dla swych bliskich sąsiadów, a nieraz i dla bardziej odległych adresatów. Nie należy jednak z tego robić wyłącznej miary jej sukcesów, gdyż kultura polska potrzebna jest przede wszystkim nam, Polakom.

Będąc uczestnikami, nosicielami i współtwórcami tak bogatej i aktywnej kultury – nie wolno nam jej nie docenić. I nie należy przeoczyć, że jest ona naszym nieocenionym majątkiem narodowym, kapitałem zakładowym na nowe czasy. Jest nim na równi z innymi atutami – potencjałem demograficznym i genetycznym, bogactwami naturalnymi naszej ziemi, pozycją geopolityczną na kontynencie i z wieloma innymi walorami. Te „inne” są na ogół znacznie wyżej cennie – za ich „konkretność i wymierność” – w przeciwieństwie do imponowalnych i nie wymiernych „dóbr kultury”. Traktuje się je niejednokrotnie tak, jakby powstały same ze siebie, należały do nas na mocy oczywistości, trafiały się nam za darmo i były niezniszczalne. Na ich podtrzymanie wystarczą promile budżetu narodowego, wykazujące się zresztą trwałym trendem zanikającym. Trwałości i jakości tej kultury nie zagrażają, jakoby, tony śmieci i odpadów kultury „globalnej” zasysane i rozsiewane przez „naszą telewizję”, brukową, choć kolorową prasę i lawinę tandetnych wytworów „przemysłów kulturowych”.

Fakt, iż głęboka tkanka polskiej kultury w XX stuleciu zachowała się mimo tylu zagrożeń i takiego ogromu strat jakie poniosła, nie oznacza, że jest ona wiecznotrwała i z natury rzeczy nienaruszalna. W dzisiejszych czasach i współczesnymi środkami można zainfekować i zniweczyć coś, co w niej jest najbardziej istotne, a zarazem najbardziej wrażliwe i trudno odtwarzalne. Tym czymś jest system pozytywnych wartości, którego dotychczas była nośnikiem.

Zauważmy dwóch polskich poetów-noblistów w ciągu piętnastolecia, to wszelako nie fatamorgana lub przygodny incydent, ale swoisty znak czasu. Ale to przecież zaledwie zaszczytny wierzchołek góry lodowej, jaką jest poezja współczesna i cała poezja XX wieku w Polsce. Gdyby nagrodę Nobla otrzymali Zbigniew Herbert, Tadeusz Różewicz, czy ks. Jan Twardowski – byłibyśmy przecież słusznie usatysfakcjonowani takim wyróżnieniem. Niestety nie okazało się ono możliwe i musimy ich wynagrodzić we własnym zakresie. Wiemy skądinąd, że właściwą miarą poezji nie jest ani ilość, ani wysokość nagród, choćby

i najwyższej rangi, lecz to, że słowa poetów wchodzi w użytek i obieg powszechny w znaczeniu które im oni nadali.

Czy jesteśmy krajem wielkich muzyków? A jakże można by w to wątpić patrząc na twórców największej miary żyjących i pracujących w Polsce lub emigrujących z Polski, a uznanych, podobnie, jak poeci, za znakomitości i awangardę muzyki światowej. W drugiej połowie stulecia rozbłysły na tle dawniej uznanych nowe polskie nazwiska muzyczne – kompozytorów: Witolda Lutosławskiego, Mikołaja H. Góreckiego, Wojciecha Kilara, czy Krzysztofa Pendereckiego, na emigracji zaś Andrzeja Panufnika i Romana Palestra. A to jest zaledwie wyniosły szczyt piramidy o szerokiej podstawie, bo wpisać w nią trzeba także nazwiska młodszych kompozytorów, wybitnych dyrygentów, śpiewaków, wirtuozów, organizatorów życia muzycznego, mistrzów i pedagogów, a także muzykologów i krytyków.

Jeśli zaś o wybitność polskich filozofów chodzi, to sprawa dla potocznej świadomości nie jest aż tak oczywista jak w przypadku teatru, filmu, sztuki poetyckiej, czy muzycznej – ale dla znających się na rzeczy nie przedstawia żadnych wątpliwości. Może i nawet przeciętny licealista słyszał słynne nazwiska filozofów należących do zamkniętej już epoki – Kotarbińskiego, Ajdukiewicza, Tarkiewicza, Elzenberga, czy Ingardena – może liźnął coś z ich poglądów? Ale każdy musiał się otrzeć o współczesne postacie filozofów czynnych w latach 90. – o Józefa Bocheńskiego, Leszka Kołakowskiego, o Alberta M. Krapca, Barbary Skargi, Władysława Stróżewskiego, Stefana Swieżawskiego, ks. Józefa Tischnera, Bogusława Wolniewicza.

Nazwisko Karola Wojtyły trzeba oczywiście wymienić na zaszczytnym miejscu tej listy, nie tylko dlatego, że jest jednym z największych autorytetów religijnych, moralnych i intelektualnych współczesnego świata jako Papież Jan Paweł II. Przez 30 lat był przecież profesorem filozofii KUL i jest między innymi autorem jednej ze znakomitszych prac filozofii personalistycznej – *Osoba i czyn*.

Wszelkie wymienione postacie można zaliczyć do grona najwybitniejszych osobistości filozofii światowej.

Jeśli więc Niemców w Europie XIX-wiecznej określano mianem „narodu poetów, muzyków i filozofów” – to nie wydaje mi się niczym niewłaściwym przypisać to miano w XX stuleciu również Polakom.

Co więcej, gdybyśmy tego o sobie nie wiedzieli, gdybyśmy tego nie powiedzieli sobie samym, a także – pełnym głosem i we właściwy sposób – Europie, do której aspirujemy – to na próżno zwoływalibyśmy Kongresy Kultury i na darmo na nich byśmy obradowali.

Ale też prawdą – symetrycznie odwrotną wobec tego reprezentacyjnego poglądu, sławiącego górne „C” polskiej kultury – jest także inna, skrzecząca prawda o jej antypodach. A więc o ubóstwie i zabłąkaniu, płyciźnie i ciasnocie pol-

skiej filozofii potocznej i życia codziennego; a w ślad za tym – o patologii życia publicznego i codziennych tryumfach absurdu; o nie małej części młodzieży mówiącej tylko plugawym językiem, naśladowującej popisy „małpiego rozumu”, dotkniętej analfabetyzmem funkcjonalnym, wrażliwej już tylko na łomot i szatkowanie kapel rockowych, potężniejące dawki decybeli płynące z estrady i walkmanów, na porażającą tandetę teledysków większości top-hitów. Zarówno wobec mądrościowego przesłania filozofii, jak i wysokiego tonu poezji i muzyki – teksty kultury popularnej i masowej są karykaturą i hańbiącym despektem wszelkiej Kultury. Biada nam gdybyśmy też nie wspomnieli o groźbie skretynienia audytorium telewizji państwowej i komercyjnej, pod nawałą bzdurnych reklam wytrwale i nachalnie emitowanych w czasie „najwyższej oglądalności”. Nie mówiąc o innych specjałach telewizyjnych, jak bezwstydnie idiotyczne pytania *Audio-tele* i grad bezustannych zapowiedzi programowych „kina akcji”, horrorów i amerykańskich seriali – w sumie całej tej telewizyjnej sieczce sypanej bez opamiętania do głowy milionom ludzi...

To wszystko musimy sobie także jasno uświadomić i głośno powtarzać – i na Kongresach Kultury i poza nimi – gdyż w innym przypadku „kultura” stanie się czymś w rodzaju parawanu przysłaniającego „hańby domowe” naszej codziennej rzeczywistości.